

Mirosław Ratajczak

DROGI PRZYJACIELU

O wybaczenie, że nie pisałem tak dawno, nie proszę. W kwestiach konwencji rozumieliśmy się zawsze dobrze, i równie dobrze wyczuwaliśmy, kiedy trzeba pogadać, a kiedy trzeba pomilczeć. Wyczuwaliśmy, gdy mieliśmy możliwość spotkania się, jednak od czasu Twojego wyjazdu, reguła ta działa na chybił trafił, więc chyba trudno już mówić o regule. Tym bardziej że i tak będzie to raczej monolog, tyle że głoszony nie całkiem do ściany, ale w przytomności kogoś, kto będzie miał jako takie pojęcie, o czym mówię. Przechodzę zatem do rzeczy, nie chcąc nudzić nadmiarem słów.

W Muzeum Współczesnym Wrocław otwarto w końcu listopada wystawę poświęconą PERMAFO, działającą w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych w Klubie Związków Twórczych galerii Andrzeja Lachowicza i jego żony Natalii LL (kuratorką była Anna Markowska). Wiesz doskonale, o czym mówię, bo miałeś jak ja kartę wstępu do tego lokalu, gdzie spędzaliśmy masę czasu, m.in. dyskutując o ówczesnych wydarzeniach kulturalnych, o swoim w nie zaangażowaniu, wymieniając plotki itd. Wiesz także, że to „itd.” miało najczęściej postać płynną i wysokoprocentową, bo pewnie „na sucho” ciężko byłoby tamte czasy przelknąć. Wyjechałeś stąd właśnie w chwili, kiedy nad tamtą epoką zapadła kurtyna i nie dane Ci było w bezpośrednim doświadczeniu to wszystko, co ją w następnych latach zrazu zamazywało, a potem niejako odtwarzało na nowo, ale wnosząc takie czy inne, mniej lub bardziej sięgające w głąb i w istotę rzeczy korekty. No, zwyczajne działanie czasu i ludzi. Wiele przez ten czas zmieniło się w moich emocjach i poglądach na owe lata, tak mi się przynajmniej zdawało. Na temat ówczesnej działalności Lachowiczów miałem swoje zdanie, może niegłębokie, ale dość zdecydowane, i dawałem temu czasem wyraz w publikowanych tekstach, a także w naszych rozmowach. Mijające lata jednak zrodziły spory dystans do tamtych spraw i do ludzi, złagodziły momenty konfliktowe, osłabiły krytyczne oceny, w wielu punktach pozwoliły dostrzec wartości tam, gdzie ich przedtem nie widziałem (a śmiem sądzić, nie widzieli ich w dużej mierze także oni sami). Obecna wystawa jednak wprawiła mnie w dziwny stan ducha. Z dwóch powodów.

Jest to bardzo rozległy projekt, gromadzący przede wszystkim dokumentację zjawisk, które można było etykietą PERMAFO opatrzyć. Zaskoczyło mnie, jak wiele można w tym zmieścić, bo w zasadzie objęła ona większość tego, co po Ludwińskim działo się we Wrocławiu w nurcie „awangardy”. W tamtych latach o schedę po Ludwińskim (czy może raczej o „rząd dusz” awangardy) walczyło kilka osób, starając się sformować jakiś ruch i oprzeć go o instytucjonalne struktury. Wystawa dowodzi, że udało się to Lachowiczom (właściwie powinienem napisać, że Andrzejowi Lachowiczowi, bo to on był *spiritus movens* owej historii, czyli firmy PERMAFO), choć być może czekają nas jeszcze inne przetasowania (w kolejce czekają prawie nieknięci przy tej okazji Zbigniew Makarewicz i Jerzy Olek, również dobrze Ci znani). Rzecz ciekawa, że stało się to dopiero teraz. Bo kiedy młodzi krytycy i historycy sztuki dekadę wcześniej zabrali się za odkurzanie dyskursu konceptualistycznego lat siedemdziesiątych, to jakoś Lachowicza nie zauważali, lub tylko marginalnie, a przecież Wrocław ma od zawsze markę głównego ośrodka sztuki pojęciowej w Polsce. Może zaważyła nad tym znakomicie rozwijająca się kariera i pozycja Natalii LL, która paradoksalnie usunęła w cień rolę PERMAFO, choć tam wzięła swój początek, a może słabnąca dyspozycja artystyczna Andrzeja Lachowicza w końcówce XX wieku, nie wiem... Zabawne wydaje mi się, że Lachowicz niejako wrócił do gry w ostatnich latach m.in. dzięki pojawieniu się na wystawach... Foto Medium Art, jako artysta „ze stajni” Jerzego Olka (o tempora! o mores!).

Mniejsza z tym, smaczków można się tu dopatrzeć co niemiara, ale nie o to mi idzie. Zdumiała mnie nie tylko „rociągłość” zjawiska, o którym tu piszę. Zdumiała mnie owocność strategii Lachowicza, który ową rociągłość, po początkowym i niejako „programowym” okresie istnienia PERMAFO, świadomie kultywował. Zaiste był pierwszym tej miary człowiekiem w polskiej sztuce, który potrafił skutecznie wykorzystać na dużą skalę techniki marketingowe (wspominam tylko o jednym aspekcie, ale było mnóstwo innych). Dzisiaj jestem skłonny niemal do podziwu w tej materii, ale...

No właśnie, musisz pamiętać nasze rozmowy z tamtych lat, bo innego rodzaju czas i doświadczenia w rzeczywistości, w jakiej żyjesz, nie zamuliły Ci ze szczętem tamtego obrazu. Te właśnie strategie budziły przeciw mój opór w latach siedemdziesiątych. To nieustanne podważanie idei, teorii, odniesień, te naiwne „badania” nad sztuką, które w zasadzie działały zgodnie z regułą „samospełniającej się przepowiedni”, te manipulacje nie tylko teoriami, ale i ludźmi. W dodatku żyliśmy w czasach, kiedy sprawność marketingowa to była u nas tzw. „siła przebicia”, a „siła przebicia” jakże często oznaczała „karierowiczostwo”, a ono... no cóż, żyliśmy w układzie, gdy o karierze ostatecznie decydowała nie tylko, a na pewno nie wyłącznie, dyspozycja jednostki. Idzie mi o to, że gdzieś tu był pogrzebany element moralny, jaki dzisiaj bywa trudny do nazwania. I to właśnie znów odżyło we mnie, gdy oglądałem tę wystawę. Nie chcę składać ci jakiegokolwiek donosu na protagonistów tego spektaklu, po prostu, czytając opasy katalog, widzę, jak znikają z horyzontu rzeczy kiedyś dosyć ważne, a dzisiaj już nieobecne. Taki dysonans poznawczy. Ale jak ma reagować moja pamięć, kiedy czytam, jak to wspaniałe, młode, kochające się małżeństwo zdobywało beztrząsoko świat i oferowało jego uroki reszcie społeczeństwa zamkniętego w okowach realnego socjalizmu, niemogącej wyjechać do Nowego Jorku, lecz zaledwie do NRD (choć już tylko na Dowód Osobisty). Wiem, dialektycznie rzecz biorąc, rzeczywiście ta sztuka przyczyniała się do rozsądzania reżymu i budzenia świadomości społecznej (jak zresztą cała niemal epoka Gierka w Polsce), ale...

Nie mam jasności w wielu sprawach, których wciąż żywą obecność uświadomiła mi ta wystawa. To nie tylko sprawa sentymentów i resentymentów, o które można mnie tu podejrzewać. Bo z drugiej strony ta wystawa zaskoczyła mnie i w tym, że mi się podobała. Zobaczyłem, że to nadal jest wielkie zamieszanie. Byłoby grzechem dla jego żywotności, pogrzebać je w jakimś rozstrzygającym uporządkowaniu, zresztą, jak mi się zdaje, niemożliwym do przeprowadzenia. Można tworzyć wyraziste dzieła i dawać początek procesom twórczym, kontynuowanym przez lata, ale można też „zamieszać” w epoce tak, żeby mimo braku niepodważalnych dzieł lub kontrowersyjności ich zna-

czenia nadać jej pewien potencjał, czyli odszpuntować beczkę, w której procesy fermentacyjne zamaryły z braku tlenu. Być może PERMAFO było czymś takim. Na pewno wyzwoliło potencjał twórczy Natalii LL, choć z drugiej strony uwikłało ją w dyskusję o wątpliwej, moim zdaniem, wartości i przydatności do zrozumienia jej dzieła. Co do innych nie chcę się tutaj wypowiadać, ich późniejszy dorobek zdaje się świadczyć, że zabrali się na wycieczkę z Andym, widząc w tym jakąś szansę dla siebie. (Aha, jak zawsze, zabrakło mi kilku słów o Warholu. Nie wiem, dlaczego krytycy wciąż o nim przy okazji Lachowiczów nie piszą. Co najwyżej wspomina się, że Lachowicz używał swego imienia w brzmieniu, jakim posługiwał się szef nowojorskiej Fabryki, a przecież było o wiele więcej).

Moim marzeniem jest przeczytać kiedyś powieść o wrocławskich artystach owego czasu, na przykład (a nawet szczególnie) o Lachowiczach. Taką, gdzie ich życie w sztuce musiałoby się mieszać z życiem osobistym, codziennym, w realiach Polski lat siedemdziesiątych, a język ich sztuki z językiem, jakim wtedy mówiliśmy nie tylko na wernisażach, sympozjach, w Związkach Twórczych. Wiem, na podstawie skromnych doświadczeń, że Andrzej Lachowicz mógłby stać się fascynującym bohaterem takiej książki. Kto wie, czy nie bardziej substancjalnym niż jako twórca PERMAFO. Bo jako ten ostatni, pasuje mi do tytułu jednej z jego prac: Ani wschód, ani zachód słońca.

Mirosław Ratajczak

Andrzej Lachowicz, „Ja Ty On”, 1970

